

Dwa lata temu reżyser Krystyna Meissner przedstawiła na deskach toruńskiego Teatru im. Horzycy „Balladynę” J. Słowackiego. O spektaklu tym, mimo że zrealizowanym na prowincji i nie wolnym od drobnych „kiksów” inscenizatorskich i aktorskich, mówiło się w całym kraju. Oczywiście chodzi tu o tzw. koła związane z teatralnym światkiem, bo nie było to — bez przesady — wydarzenie, o którym gruchałyby gołębie przed kościołem Mariackim. „Balladyna” K. Meissner wzbudziła zainteresowanie z powodu odbiegającego od tradycyjnego, stosunku do utworu Słowackiego, który nie tylko nie klęcił się z intencją samego autora, ale wręcz ją uwydatniał. Jeżeli bowiem wyciągnąć konsekwencje praktyczne z deklaracji Słowackiego, że „Balladyna” „podobna jest do starej ballady i ułożona tak, jakby ją gmin układał” (jak pisał Słowacki do matki), to zrozumiałoby okazywać się pomysł K. Meissner, żeby dramat ten faktycznie opowiedziany był przez „gmin”. Aktorzy toruńskiego teatru zamienili się więc w trupe amatorską, z tzw. gminu właśnie się wywodząca, która prezentuje publiczności ludową balladę z morałem: postacie z dramatu Słowackiego wyłonione zostają spośród ludu, a motywy przewodnim, scalającym cały spektakl jest powracająca wciąż ballada Aleksandra Chodźki z 1829 „Maliny” (skąd zaczerpnął Słowacki motyw malinowych zawodów, podczas których siostra zabija prawdziwą zwyciężczynię, a więc zarazem prawowitą narzeczoną księcia).

Reżyser krakowskiej inscenizacji „Balladyny”, Jerzy

Z teatru

„Balladyna”

Wróblewski, uważając pomysł Krystyny Meissner za ciekawy i wart rozpowszechnienia, przeniósł go do Teatru im. J. Słowackiego. Nie jest to jednak dosłowna kalka toruńskiego spektaklu. Zapożyczona została scenografia — motyw przechodzącej skośnie przez całą scenę drogi, ale w krakowskim przedstawieniu ważną częścią tej drogi jest krzyżujący się z nią strumień — „ścieżka”, na której harują postaci fantastyczne dramatu: królowa Gopłana, Chochlik i Skierka. Cała praktycznie akcja rozgrywa się w miejscu przecięcia obdwu światów — na moście, akcentując tym samym znaczenie wzajemnego ingerowania fantastyki i rzeczywistości.

Zapożyczony został pomysł komentowania akcji dramatu romantycznymi balladami, ale autorem muzyki do nich jest kompozytor krakowski — Lucjan Kaszycki. Jest ona nb. stylistycznie obca spektaklowi i przypomina miejscami chórkałne songi z awangardowych przedstawień tzw. teatrów studenckich (obecnie na wymarciu...).

Wreszcie rzecz najważniejsza — lud. W spektaklu Wróblewskiego są to współcześni Słowackiemu emigranci. W podróżnych strojach, z bagażami, śpiewają ballady o litewskich stronach (Litwin A. Chodźko, to jeden z filaretów, a także jeden z cgotrnej fali parys-

kich emigrantów...) i przeglądają się opowieści o Balladynie narodzonej jakby z ich tęskniącej wyobraźni. Niewątpliwie sklejenie snujących się po scenie XIX-wiecznych emigrantów — komentatorów z akcją zasadniczą (czyli granym bądź co bądź „po bożemu” dramatem Słowackiego) kojarzyć się musi z modnym współcześnie eksploatawaniem nostalgii autora za utraconym tzw. krajem lat dziecięcych, który nie tylko jest konkretnym, fizycznym miejscem na mapie, ale także światem Tradycji, w którym, mówiąc w cudownej baśni, obowiązuje sprawiedliwość i piękna hierarchia wartości (por. „Kronikę wypadków miłosnych” Andrzeja Wajdy i Tadeusza Konwickiego!).

Jedyną postacią z „Balladyny” nie odzianą w zgrzebny „piastowski” strój jest Filon — płacziwy wielbiciel Aliny. Jest on według reżysera romantycznym młodzieńcem zakochanym w pozorach, we własnych marzeniach. Jest karykaturalną antytezą Korkora walczącego przeciw o wolność i uznanie straconego z tronu króla, a więc — skoro oglądamy go w XIX-wiecznym kostiumie, jest antytezą młodzieży powstańczej. Nie można oczywiście zarzucić pożyczonemu z Torunia pomysłowi braku sensu i braku pretekstu w utworze Słowackiego. Ale chciałabym się jednak zapytać: Czy „Balladyna” sa-

ma w sobie zbyt mało zawiera treści i wątków dramaturgicznych? Czyż wreszcie, ta XIX-wieczna rama cokolwiek odkrywczego i nowego wnosi?

Lepiej byłoby chyba, gdyby reżyser skoncentrował się na sednie sprawy, czyli na dramacie Słowackiego, na rzetelnym i poważnym potraktowaniu postaci dramatu, które prezentują się w spektaklu Wróblewskiego ledwie poprawnie.

To prawda, że w baśni (a „Balladyna” z baśniowego świata się wywodzi) królują białe-czarne, szablonowe sylwetki. Przydałoby się jednak w te papierowe lalki bez ikry tchnąć trochę prawdziwego życia! Rozpalić w nich namiętności, nie pozwolić na upozowane recytacje. Tytułowa postać grzeszy poposłitością. Nie ma w niej szatańskiego zapamiętania, determinacji, siły, intrygującej Osobowości! Owszem, możemy uwierzyć, że ta Balladyna to cwana, kuta na cztery nogi karierowiczka. Ale czy zdolna byłaby ona do zbrodni?! Na pewno nie.

DOROTA KRZYWICKA

JULIUSZ SŁOWACKI — BALLADYNA, reżyseria — Jerzy Wróblewski, scenografia — Kazimierz Wiśniak, muzyka — Lucjan Kaszycki, choreografia — Leszek Czarnota, aktorzy: L. Bogacz, H. Gryglaszewska, J. Leśniak-Jankowska, J. Łagodzińska, B. Wojciechowska, R. Jasiński, H. Kurpanik, J. Łagodziński, J. Milczanowski, J. Nowak, J. Sagan, B. Słomiński, J. Strama, J. K. Warunek, W. Ziętarski. Premiera — Teatr im. J. Słowackiego, 28 marca 1987.